

Joanna
Fabicka



idę
romans historyczny
w tango

Wydawnictwo
ab
two



Joanna Fabicka (ur. 1970) – pisarka i felietonistka z wykształceniem filmoznawcy oraz doświadczeniem montażystki. Pracując w łódzkiej Filmówce, montowała m.in. nominowaną do Oscara *Męską sprawę* w reżyserii Sławomira Fabickiego (męża). Debiutowała w 1993 roku tomikiem poezji *Bardziej cierpki smak*. Jest autorką bestsellerowego cyklu książek o dojrzewaniu nastoletniego Rudolfa Gąbczaka i jego dysfunkcyjnej rodzinie, wydanych nakładem W.A.B.: *Szalone życie Rudolfa* (2002), *Świńskim truchtem* (2004), *Seks i inne przykrości* (2005) i *Tango ortodonto* (2006). W roku 2006 ukazał się przekład rosyjski pierwszej części cyklu, w 2008 – charytatywne wydanie książki w formie audiobooka, przeznaczone dla osób niewidomych i słabowidzących. Obecnie Fabicka pracuje nad książeczką dla dzieci *O małym Strachobździlu i wielkiej odwadze*. Prywatnie mama dwóch córek.



Joanna
Fabicka

ide
w tango

romans historyczny

Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2008
Wydanie I
Warszawa 2008

Mojej Mamie i Uli K. – dziewczynom w złotych rajtuzach

– *Allah akbar! Allah akbar!* – krzyczał w natchnieniu młody Arab, obezwładniony chwilę wcześniej przez służby bezpieczeństwa. Szamotał się niczym nawiedzony, a jego twarz zdradzała ekstatyczne szczęście. Otepiali upałem angielscy funkcjonariusze żuli gumę, z flegmatyczną pedanterią tłumacząc mu, że ostatni raz nabierają się na jego pogrożki i nie ma co liczyć na kolejne zatrzymanie. „Terrorysta” okazał się więc ich dobrym znajomym, nieuleczalnym komediantem o narcystycznej osobowości. Zdemaskowany, zebrał się z podłogi i poczłapał do baru na colę, wciąż powtarzając jak mantrę: „*Allah akbar!*”

Jadzia pomyślała, że, niestety, jej Bóg ani trochę nie jest „akbar”, skoro porzucił ją w samym środku tej okrutnej cywilizacyjnej pułapki, jaką jest strajkujące lotnisko. Rozsadzający czaszkę jazgot narastał wokół z każdą chwilą. Wielokulturowa ciżba lamentowała we wszystkich językach świata, a rozhisteryzowane postacie biegały w tył i w przód jednocześnie, niczym na głównej ulicy New Delhi. Brakowało tylko trędownych z odpadającymi znienacka nadgniętymi kończynami

i walących placki świętych krów w całym ich hinduistycznym majestacie. Gdyby teraz pod ręką znalazł się jakiś buddyjski klasztor, Jadzia bez namysłu porzuciłaby rozbebeszoną walizkę (w której właśnie popsuł się zamek), złowrogo majaczącą na horyzoncie kulawą przyszłość oraz własne, słodkie, aczkolwiek upierdliwe dziecko. Niestety, mnisi byli daleko, nirwana jeszcze dalej. Całkiem blisko zaś rodzina spoconych Niemców, przestępująca niecierpliwie z nogi na nogę. Najmłodsze z nich z bawolą gracją rozdeptywało właśnie raciczkami ostatnie dwa bajgle zakupione na drogę przez przezornego synka Jadzi – Gustawa.

„No, to teraz jeszcze powinnam dostać klimakterium”, pomyślała i padła na tekturowe pudła pieczolowicie oklejone taśmą z napisem: Amatorskie Sympozjum Origami.

Mijała siódma godzina strajku bagażowych w terminalu tanich linii lotniczych Sky Fly pod Londynem. W powietrzu woń orientalnych olejków mieszała się z zapachem poupychanej w bagażach kiełbasy, korzennych przypraw i smrodem spoconych ciał. Wszystkie pachniały tak samo mocno i nieprzyjemnie. Pasażerowie po fazie wzmożonej pobudliwości wpadali w pajęczynę apatii i bezradnego przygnębienia. Trzeba zacząć oszczędzać energię. Kto wie, ile to jeszcze potrwa? Jeśli chodzi o Jadzię, było jej wszystko jedno. Właśnie dotarła do punktu, po którego przekroczeniu człowiek niczemu już się nie dziwi. Ze spokojem ogląda w telewizji relację z jakiejś krwawej jatki, a potem widzi własnych sąsiadów i łkającą do kamery rodzinę: „Ooooch, to straszne... Nigdy bym nie uwierzyła, że

ona może samodzielnie dokonać takiej masakry. Zawsze była słabą kobietką, dobrą matką i przykładną rozwódką”.

Szczerze mówiąc, Jadzia nigdy nie była dobrą matką, a już na pewno nie taką, która zadowoliliby krwiożercze społeczeństwo żądne potu, łez i krwi w ciężkiej – naszym artyleria służbie macierzyństwa. Lepszą matką dla samego siebie był w zasadzie jej synek – nad wiek rozwinięty ośmiolatek: przezorny i obowiązkowy, zaradny i pedantyczny, jednym słowem, całkowite przeciwieństwo swojej neurotycznej i rozkojarzonej rodzicielki, którą życie wiecznie przerastało, raz po raz rzucając w czarne odmęty rozpaczy. Niestety, Gustaw, dziecko nazbyt dojrzałe, był pozbawiony charakterystycznej dla jego wieku beztroski i radości życia. Wiecznie targany egzystencjalnymi wątpliwościami i martwiący się na zapas, celował w wynajdywaniu nieszczęść i kataklizmów, które mogły spaść zniecka na ich dwuosobową rodzinę. Dlatego chcąc uprzedzić los i przechytryć życiowe fatum, zawsze był czujny, spięty i wszystko traktował śmiertelnie poważnie. Te cechy sprawiały, że w kręgu bliższych i dalszych znajomych uchodził za wyjątkowy okaz, trudny i uciążliwy. Jakikolwiek rodzaj protekcyjnego infantylizmu, z jakim dorośli zwykli odnosić się do dzieci, był przez niego natychmiast demaskowany i kwitowany w sposób zdradzający wnikliwą, gorzką znajomość ludzkiej natury. To wszystko, w pakiecie z życiowym rozmamłaniem Jadzi, doprowadziło do sytuacji, gdy pod pozycją „przyjaciele domu” figurował stan: półtora, w porywach dwa. Aktualnie był bliski zeru, choć jeszcze dzień wcześniej zapowiadało się, że wreszcie

Jadzia będzie już zawsze zasypiać na silnym, samczym ramieniu. Gucio z kolei dostanie męski wzorzec do naśladowania, a ich dotychczas dwuosobowa rodzina zyska stały dopływ testosteronu.

Dwa lata temu Mieszko – mężczyzna o słowiańskim imieniu, chmurnej duszy i ułańskiej fantazji – pojawił się na brzegu życiowego wykopu (do którego znowu wpadła Jadzia) i oświadczył: „Od teraz wszystkie twoje problemy się skończyły, bejbe”. Ponieważ każda zakochana kobieta jest idiotką, Jadzia bez mrugnienia okiem uwierzyła w tę deklarację, nie chcąc zauważyć, że jest niewykonalna, gdyż opiera się na oczywistym i z gruntu fałszywym przekonaniu o wszechmocy mężczyzny. Sprawa została klepnięta, związek skonsumowany i Mieszko wyjechał do Londynu, gdzie jako prężny budowlaniec z perspektywami miał się tu i ówdzie rozejrzeć. Dalej związek rozwijał się głównie korespondencyjnie.

(...) Kochana! – donosił z daleka. – Nie uwierzysz, stałem wczoraj taki smutny na Victorii i już tylko wspomnienie twoich pośladek ratowało mnie przed totalną załamką. Chłopaści skoczyli coś tyknąć, ale ja przecież obiecałem Ci, że nie będę tu pił. I nagle zagadał do mnie jakiś elegancki gostek. Na początku myślałem, że to Angol i w dodatku pedzio może, a on Polak katolik. Jakie szczęście! Mówię Ci, powojenna emigracja, bułkę przez bibułkę. Bejbe, z miejsca mi dał pracę, i w dodatku całkiem na legalu! Na gwałt potrzebuje kogoś do wykończeniówki. No to teraz, jak przyjedziesz, to będzie prawdziwy rili, rili paradajs. W tym naszym rajku będziemy sobie latać na golasa, bez żadnej ściemy, z listkiem figowym. I Ty nic nie będziesz musiała robić, nic. Ja Cię będę karmił

i poił, i mył Cię będę całą, calusieńką. Uch, normalnie jestem taki krejzi, jak o Tobie myślę, taki krejzi, że mi chyba jaja rozerwie z tej tęsknoty...

Boże, że też mogła kochać takiego niedocofa! Chyba sama sobie postanowiła zrobić na złość, kiedy związała się z nim wbrew alarmującej intuicji, zdrowemu rozsądkowi oraz wszelkim znakom na niebie i ziemi zwiastującym nieszczęście. A jednak kochała go i tęskniła tak mocno, że kiedy tylko pojawiały się wątpliwości, szybko zagłuszała je, zajądając wszystkie swoje lęki i przecucia. I czekała, wciąż czekała.

Tymczasem Mieszko na tyle wygodnie umościł się na emigracji, że nadszedł moment decyzji: likwidujemy nasze życie w Polsce, zaczynamy *future* na Wyspach Brytyjskich, krainie skandali w rodzinie królewskiej, gry w polo, flegmy i zamachów terrorystycznych. I kiedy wczorajszego wieczoru podczas uroczystej kolacji wzruszony wykrztusił: „Słonko, chciałbym ci kogoś przedstawić”, Jadzia była pewna, że będzie to:

- a) jego matka;
- b) anglikański ksiądz, który udzieli im ślubu;
- c) lokaj i zarządca ich londyńskiej rezydencji.

Niestety, był to jednak wariant d): przyszła matka jego dziecka („Słonko, *sorry*, ale nie umiałbym prowadzić podwójnego życia”).

Żeby nie zabić gada widelczykiem do krabów, Jadzia natychmiast pognąła na lotnisko, zawijając po drodze w swój tułaczy tobołek kilka ubrań, dziecko i zgruchotałe poczucie własnej wartości. Przez całą drogę metrem Gustaw jęczał, że zapomnieli wziąć Rajmunda. Był to

wyjątkowo szpetny, wyleniały jednooki pluszak, którego Gucio dostał przed laty od swojego ojca. Ten, wracając pewnego razu z nocnej bibki, nabył go okazji od ulicznego pijaczka. Już sam wygląd Rajmunda zdradzał jego bujną przeszłość, a sterczące, nieproporcjonalnie duże, pomarańczowe siekacze dodawały mu swoistego dramatyizmu. To rozumiały, że zdobył wrażliwe serce dziecka na wieki.

– Nie płacz już, no proszę... – Jadzia była kompletnie bezradna wobec rozpacz synka. – Kupię ci jakiegoś innego miśka.

– To nie był żaden misiek, tylko... tylko... nuuuutria, buuu!!!

To prawda, Rajmund był nutrią i wyglądało na to, że zniknął z ich życia równie skutecznie jak Mieszko, nowa szkoła Gucia, spacer po Notting Hill i sielskie życie na garnuszku Królowej. Matka i dziecko skulili się na siedzeniach, przeżywając każde z nich na swój sposób bolesną stratę.

Strajk na lotnisku okazał się dla nich w gruncie rzeczy błogosławieństwem. Jadzia, unieruchomiona z tysiącem innych osób, mogła trochę ochłonąć, zobaczyć, że inne kobiety mają jeszcze gorzej (po raz kolejny staropolski sposób na chandrę okazał się bezkonkurencyjny). Nawet jeśli teraz są w szczęśliwych związkach, to z pewnością zostaną porzucone. Zrozumiała, że to jest po prostu wpisane w naturę mężczyzn i trudno mieć nawet o to pretensje... Są tylko niższym, ułomnym bytem, gorszym gatunkiem człowieka... Więc jedynym słowem, jakie przychodziło jej do głowy teraz, gdy siedziała zrezygnowana i patrzyła na tych wszystkich ważniaków w lot-

niczych uniformach, leniwych sprzątaczy wkopujących pod wycieraczkę papierek, brzuchatych ojców rodzin rozwalonych na plastikowych krzeselkach, młodych, a już warczących na swoje dziewczyny wyrostków i małych, wrednych chłopczyków, strzelających „babolami” we własne siostry o spojrzeniu urodzonych niewolnic... no więc, jedyne słowo, jakie przychodziło jej na myśl, gdy widziała cały zawieszony, męski ród, brzmiało: eksterminacja. Przynajmniej do chwili, kiedy przypomniwała sobie o własnym synu.

– Nie martw się, pomogę ci ją wypić – wymamrotał, mocując się z zepsutym zamkiem walizki.

– Co wypić? – Jadzia spojrzała na niego jak na kosmitę. Bywały chwile, kiedy jej pewność, że urodziła E.T. była stuprocentowa.

– No... tę czarną polewkę, którą dziś dostałaś. Ale przecież człowiek przez lata ewolucji wykształcił...

Jadzia resztką sił ucięła wywód o mechanizmach obronnych, jakie uruchamia ludzka psychika w momentach kryzysowych.

– Jeśli natychmiast nie przestaniesz, porzucę cię na najbliższym punkcie kontrolnym.

Czuła się naprawdę zmęczona. Wyjedzona od środka przez jakiegoś gigantycznego robaka, z lejem po bombie zamiast serca. Brudna i lepka od potu, brzydka i konkursowo wyrolowana. Przekroczyła trzydziestkę, a wiadomo, że w tym wieku trudniej się chudnie, seks wydaje się przereklamowany i każdy ranek może być właśnie tym, kiedy obudzisz się z podwójnym podbródkiem. Wciąż zadawała pytanie: jak to możliwe, że zawsze kończy się tak samo? Wielkie zaczadzenie, na-

dzieje i plany, i nagle, ni z tego, ni z owego: pier-dut! Narastało w niej tak wielkie poczucie krzywdy i odrzucenia przez świat, że płakała już całkiem otwarcie. Jedną ręką próbowała włożyć okulary przeciwsłoneczne, drugą zatamować katar, który ciurkiem ciekł jej z nosa. Wyjęła chusteczkę, okulary wypadły jej z ręki i potoczyły się na posadzkę wprost pod nadchodzące męskie stopy, obute w szpanerski model adidasów i designerskie spodnie Diesla. Usłyszała chrzęst rozdeptywanego plastiku i szkła.

– Aaapsik! – Kichnęła, spluwając obficie na markowe obuwie przechodnia.

– Ożeż, kurwa mać! – wrzasnął przepiękną polszczyzną jakiś wypindrzony goguś i zrobił taką minę, jakby za wszelką cenę chciał się odseparować od swojej pokrytej glutami stopy. – Ocipiała pani czy co?

Jadzia nie znalazła żadnej błyskotliwej odpowiedzi na tak postawione pytanie. W jej sercu przerażenie mieszało się z ulgą, bo to jednak zawsze miło spotkać rodaka. Człowiek nie czuje się taki samotny. Równocześnie zastanawiała się, jak to możliwe, że niektórzy noszą buty warte jej kilka pensji, i co robi, jeśli ten wymuskany pajac zażąda finansowej rekompensaty?

– No przepraszam, ale chyba nie zrobiłam tego specjalnie, prawda?

Tymczasem Gustaw, złote dziecko, z ogromnym zaangażowaniem początkującego pucybuta rzucił się do stóp nieznanego. Szorował chusteczką sponiewierane obuwie, co chwilę obficie na nie spluwając.

– To Nike, prawda? – zapytał rezolutnie. – Najnowszy model... Nike otworzył w Chinach kolejną fabrykę... Za-

trudnia pięcioletnie dzieci i płaci im dwadzieścia centów za dziesięć godzin pracy.

– Eeee... – Mężczyzna poczuł, że jest w potrzasku, i wykonał dziwny oczopląs, oceniając szanse ucieczki.

– Mogę pokryć koszty pralni – zaproponowała Jadzia, ciągle wycierając nos.

– Niech pani nie żartuje... – Stał zażenowany, rozsiewając wokół odurzający zapach męskiej wody toaletowej „Rush” Gucciego. Zapach ten wzbudził w Jadzi niejasną tęsknotę. Działał na nią niepokojąco i przytępiał ostrość widzenia. Dlatego zamiast szybko zakończyć sprawę podświadomie przedłużała tę upokarzającą wymianę zdań.

– Jasne, że żartuję... Taki ze mnie żartowniś. Od samego rana trzymają się mnie żarty. – Jej głos niebezpiecznie wchodził na zbyt wysoką częstotliwość. – Chodzę sobie i pluję na ludzi, cha, cha, cha! Wszystko mnie wprawia w dobry humor, nawet to, że zostałam sama jak palec, tylko z dzieckiem, i nie wiem, jak znajdę siłę, żeby przeżyć kolejny dzień! No, czemu się pan nie śmieje? Normalnie boki zrywaaaaa! – I żeby być konsekwentna, rozplakała się na całego.

Stojący opodal ludzie odwracali się, patrząc z zatroskaniem i pytając, czy wszystko w porządku. A kiedy liczne potomstwo hinduskiej pary zawtórowało z empatią, Jadzia poddała się cudownej, otulającej fali współczucia. Już niebawem tonęła w pokaźnych ramionach biuściastej Afroamerykanki, podczas gdy Gustaw, karmiony kandyzowanym ananasek, wykorzystywał ten czas do poszerzania swojego angielskiego słownictwa.